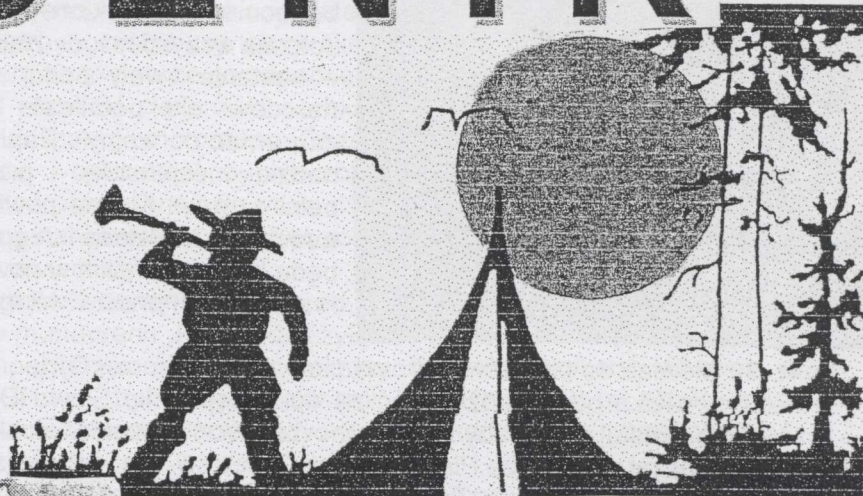


ŁĄCZNIK

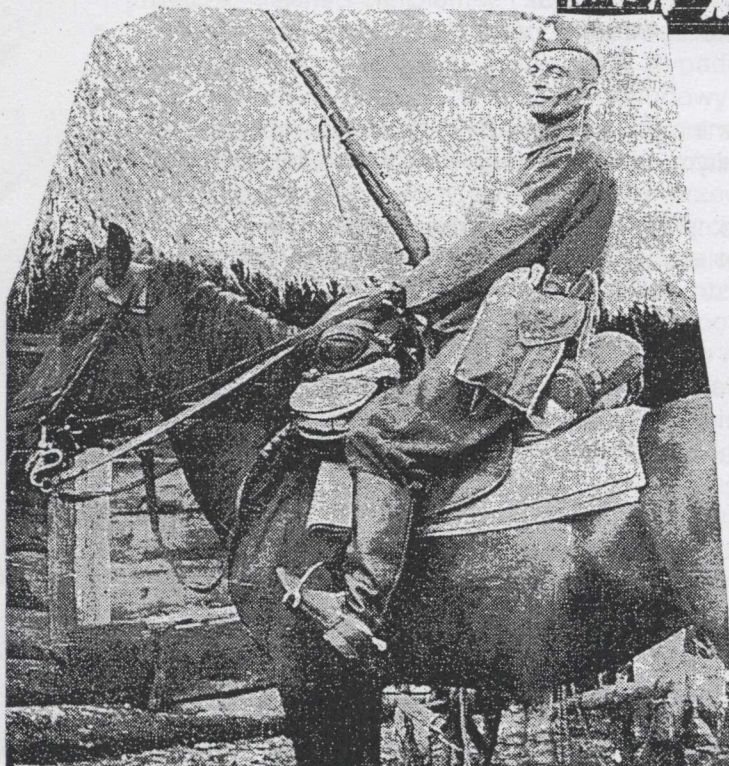
Harcerstwa

Katolickiego

„Mam szczerą wolę...
Pełnić służbę Bogu i Polsce”



„Nie rzucim ziemi skąd nasz ród
nie damy pogrześć wiary,
polski my Naród, polski lud,
królewski szczep Piastowy...”



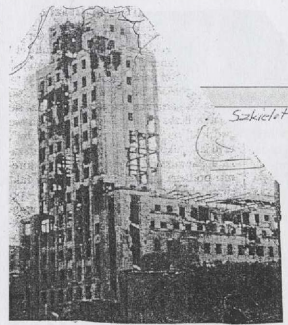
Tamtego września pamiętnego – nie było tak gorąco ani duszno, jak 63 lata później, czyli w naszym trzecim tysiącleciu. Jednak były pewne podobieństwa do atmosfery, jaką opisuje wielki fiński pisarz w swej powieści o dniach, poprzedzających wybuch ich zmagañ z sowieckim, zdrazieckim Związkiem:

W Polsce tamtego września również oczekiwali Polacy – wyjątkowo zjednoczeni wokół swego rządu i Wojska - na atak niemiecki. Dzisiaj może młodym wyda się wręcz śmieszne, że naprawdę wtedy zgodni byli wszyscy z propagandowym hasłem: „Nie oddamy ani guzika od munduru” – nie tylko korytarza do Gdańska, jakiego zażądał Hitler od Polski. Dzisiaj Putin nawet nie raczy rozmawiać o korytarzu z naszym agentem – woli wprost układać się z Niemcami, czy z Bushem.

Dzisiaj stoimy wobec współczesnych zagrożeń naszego bytu narodowego: mamy stać się kilkoma prowincjonalnymi „landami”, rynkiem zbytu dla wszelkiego „euro-śmiecia”, oznaczeni – jak wściekle krowy, z wszczepionymi identyfikatorami i odpowiednim numerem. Nawet sam biskup Pieronek wypacza słowa Ojca św. i to w kilka zaledwie dni po zakończeniu Jego wizyty. A On wzywał nas, byśmy zachowali naszą tożsamość, wiarę Ojców, ich mowę i chrześcijańskie obyczaje. Wspominając dzisiaj tamten tragiczny wrzesień, gdy dwaj nasi śmiertelni wrogowie rozdarli pomiędzy siebie Polskę – potraktujmy na serio przestrożę, zawartą w słowach „Roty” oraz wezwania Ojca Świętego i wspomnijmy tych, którzy w tamtym wrześniu nie myśleli tylko o sobie, lecz poszli do walki bez szans wygranej. Do chwili zadumy zaprasza Was

Wasz
Duspesterz





Szkiclet Niemoce - r. 1947.

WSPOMNIENIA BANDYTY ...

mnie w tej lekturze nie było. Potem już wysoki sąd poszedł gładko, szybko i utartym trybem. Ławnicy czasem kiwali głowami, pytań nie mieli, świadek był tylko jeden, więc rozprawa szła gładko i bez incydentów. Oskarżony potem składał wyjaśnienia, powtarzał utrwaloną przez śledczego moją bajkę dla bardzo naiwnych, skąd pochodziła broń, o której oczywiście nikt – poza mną, nawet w rodzinie – nie miał ani nawet zielonego pojęcia. Wysoki sąd zadał parę standardowych pytań i, wszak i tak wszystko dla nich było jasne: ot, studentki z wrogiego, kulackiego środowiska, który nie chciał skorzystać z dobrodziejstwa łaskawej amnestii.

Mówiąc o śledztwie i biciu, wspominałem również o potłuczonych mi okularach, co bardzo szybko przetrwało. Wątpię, by zostało to zapisane w aktach sądu. Te, które miałem w reku po prawie pięćdziesięciu latach później – były bardzo okrojone i nie zawierały oczywiście ani listu mego denuncjatora, ani tym bardziej jego imienia i sąd nad nim – już i wówczas Bogu zostałem. Niemniej dowiedziałem się z nich o składzie sędziowskim, ich pełnych imion i stopni.

W czasie samej rozprawy, główny głos miał oczywiście prokurator – o ile pamiętam – kpt. Malik, oczywiście Żyd. To on mnie przesłuchiwał i pytał, czemu byłem tak niewdzięczny „dla te Polski Ludowej”, która mi pozwoliła studiować, zapewniła dostatni, słuchy, chleb i miejsce w Akademiku (w sędmió – osobowym piekle), oraz tolerowała tak dudny, ofiarując możliwość ujawnienia i darowania zbrodni... W tym stylu „uno psiemawiało”, długie i kwieciste, żądając „od Wysokiego Sądu surowej, sprawiedliwej kary... piętnastu lat więzienia”.

Moja platynowa blondyna – tłumaczyła sądowni moje dobre, dotychczasowe sprawowanie, chłopsko – robotnicze pochodzenie i dotychczasową niekaralność, apelując do łagodności, by niedziśny bandyta mógł nadal uczyć się ku pozytywnej łagodnej, wyrozumiałej, ludowej władzy. Obie strony dobrze wiedziały, że wyrok i tak określają niepisane instrukcje z odpowiedniego „resortu” byłego nauczyciela z Polesia – czołowego sługusa Moskwy – Stanisława (nie Ickaf!) Radkiewicza, generała broni!

Rozprawa trwała tego dnia gdzieś do pierwszej, czy drugiej po południu, więc wysoki, ludowy trybunał był zmęczony, by wydać wyrok na oczekaniu. Lecz jeszcze bardziej chodziło o zrobienie wrażenia na rodzinie i naiwnej, nawet tej swojej „publiczności” – że są się zastanawia i naradza nad ukaraniem. Więc dalszy ciąg – czyli ogłoszenie wyroku – odłożono aż do poniedziałku.

Jeśli dobrze pamiętam po tylu latach i przy mojej sklerozie – to był to dzień 19-ty września roku 1947 – go. Wyrok miał być ogłoszony dnia 22-go, w poniedziałek. Po wyroku miałem nadzieję otrzymać od razu pozwolenie na krótkie widzenie – bez świadków – z moimi Bliskimi. Miałem również wówczas spotkać Mamusię – tak zawsze nazywaliśmy naszą Matkę. Ojciec – jak zwykle, był za ostrożny, by przyjeżdżać aż do Warszawy – i to jeszcze do sądu...

O ile pamiętam, pozwolono mi jeszcze w sali sądowej powitać obecnego na rozprawie brata Józka i mgr. Stefcię Górską, jego już wówczas narzeczoną. Pracowali razem w tzw. Prezydium Rady Ministrów (dzisiaj – siedziba samego Stojżmana), zapewne w jakimś pionie ekonomicznym. Prosiłem ich – już teraz bezpośrednio – o jakiś sweter i coś ciepłego, gdyż nadal byłem w tych samych, brudnych spodniach i koszuli, w jakiej mnie aresztowano. Cieszyłem się na przyjazd – na ogłoszenie wyroku – Matki i otrzymanie widzenia z nimi.

Powrót do macierzystego mamra i celi przebiegł normalnie, bez rozmów, każdy nadal był w duchu na swojej sali i myślał – ile też latek mu przyłożą?

Okazało się w moim przypadku, że Żydzi, zwane „Jan trzynkosz” – miało dobrego, doświadczonego nosa: usłyszałem to w poniedziałek „Oszem lat więzienia!”.

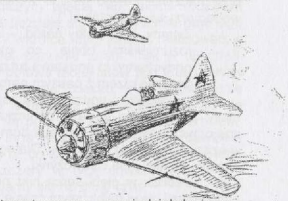
c.d.n.

Łącznik

str. 4.

c.d. „Reduta” – Mika Waltari.

Z fabryk i zakładów pracy poczeli znikać ludzie jeden po drugim i to samo działo się w pracowni kreślarskiej, gdzie pracował Antero jak i pośród jego przyjaciół, rezerwistów różnych specjalności powoływano do szeregów, wydawało się, że bez specjalnego dekretu. Więc i Antero postarał się o zaktualizowanie swej książeczki wojskowej, uporządkował papiery osobiste i poprosił Annikę, aby zaopiekowała się jego polisą ubezpieczeniową na życie, oraz ks. czerkwa.



Ponieważ nasze położenie jest bardzo niepewne Ponieważ położenie nasze jest bardzo niepewne, - powiedział do żony – może i ja będę powołany; winniśmy być na wszystko przygotowani. Ci zza naszych rubieży zobaczą, że szykujemy się i może stracą ochotę spaść nam na kark. To nie znaczy, by wojna była nieunikniona!

Władze państwowe poprosiły, aby chorzy, starsi oraz kobiety i dzieci – opuścili dobrowolnie miasto z racji ich bezpieczeństwa. Pociągi wychodziły więc, przepelnione aż do granic możliwości; ze stacji; długie szeregi autobusów wypełniały się pasażerami i tłumy zatroskanych ludzi opuszczaly swe domy i zegnaly się z bliskimi. Lecz mimo tego, nie było nikogo, kto poważnie wierzyłby, że wojna naprawdę wybuchnie.

Uważano, iż te przygotowania poczyniono jedynie, jako „środek zapobiegawczy. Pokaże się w ten sposób tym broniom z Moskwy, że Finlandia była gotowa rzeczywiście bronić swojej niepodległości za wszelką cenę, jeśli okaże się to konieczne. W taki to właśnie sposób rozmawiał z wrogami naród fiński, przywykły do liczenia tylko na siebie i bez odepby pomocy placacy własne długie i rozwijający problemy wewnętrzne w wyborach.

Wszak był to szlachetny naród, grający w otwarte karty, podczas gdy jego wrogowie stosowali wyraźnie znaczonej tali i fałszywych kart, gdy tylko mieli ku temu okazję. Również w grze politycznej Finowie okazwali swoją uczciwość, a było to tak wiadome i tak bardzo zaskakujące dla wroga, że przez prawie cały miesiąc Moskwa wahała się Powstało tam podejrzenie, że ich mały sąsiad musi mieć za sobą jakichs potężnych sojuszników.

W tym okresie oczekiwania naród fiński odnalazł sam siebie i pojął, że teraz i naukowy doświadczeniem, musi budować swą przyszłość na innych fundamentach, jak to wydarzyło się już kiedyś, w dawnych czasach. Więc teraz wszystko to, co jeszcze było brakiem zaufania, egoizmem, oraz myślami o swoim jedynie interesie, stopniało i znikło, jak wiosenny śnieg – wobec bliskiego niebezpieczeństwa.

Uznano pomyłki czasów minionych i obecnie, kiedy w niebezpieczeństwie znalazło się dalsze istnienie narodu, nie było już więcej różnic klasowych; zarówno skromny oracz, jak i robotnik – socjalista zrozumieeli, że uległość wobec sowieckich żądań oznaczała zniknięcie ludu fińskiego – jako narodu. Wszyscy doświadczaeli takiego samego entuzjazmu i pragnienia poświęcenia. W potężnym strumieniu narodu, osobowość jednego indywidualnie nie była od tej chwili niczym więcej, niż jeszcze jedną kroplą wody w tej rzecz.

Z rejonów nadgranicznych odchodziły przepelnione wagony kolejowe do wnętrza kraju, wioząc ludzi z terenów ewakuowanych do miejsc bardziej bezpiecznych. Pozostawiono domy puste; było zostało w stadach popędzone drogiem; rodziny rozprzysły się cztery wiatry a dzieci zostały wysłane do miejsc nowych rezydencji, niosąc na sztych swe imiona i nazwiska. Lecz nie wylano wielu łez. Twarze powoli przybieraly ten nowy wyraz wewnętrznego entuzjazmu i nieugiętej woli poświęcenia.

Co bowiem mogły znaczyć dla kogoś jego posiadłości, kiedy przeznaczenie całego narodu wchodziło w grę? Ile znaczyło osobiste szczęście, wobec przyszłość Finlandii?

- Zjemy, jako wolny naród... - rzekł Antero do swej żony, - aż do tej pory nie rozumieliśmy oboje, co oznacza wolność. To jest powietrze, jakim oddychamy, to podstawa naszego życia. Nie mamy innego wyboru - jak żyć i umierać razem z naszym narodem.

Mówił to podczas gdy zajmował się przygotowaniem do podróży, którą miały podjąć jego żona z córeczką. Obie miały udać się na wieś, do domu znajomych wieśniaków. Ich letni domek był zbyt zimny, by mogły w nim przetrzymać w czasie tak już późnej jesieni. Dlatego zdolali znaleźć wspólnie mieszkanie dla matki Antero, Annikki i dla dziewczynki.

Jednak w głębi serca nikt nie wierzył, by wojna była już blisko. Wszyscy przeczuwali, że w najbliższym czasie nie zdołają uniknąć wielkich ofiar, braków i strat materialnych. Dla tak niewielkiego narodu było sprawą nadzwyczaj trudną zakończyć przygotowania obronne na określony czas. Lecz wojna... nie, nikt nie mógł uwierzyć, że Związek Sowiecki miał poważny zamiar zagrozić bezpieczeństwu narodu niewielkiego i pokojowego. Nie - mówiono - Sowiety chcą nas tylko zastraszyć, lecz nie zdecydują się napaść nas i przelać tyle krwi, jak to uczynili w swym marszu wojskowym przez Polskę. Wszak Finlandia - to nie Polska.

Pomimo wszystko, zdecydowali, że Annikki i córeczka powinny opuścić miasto. Mała bawiła się spokojnie, siedząc na ziemi i Antero zasznurował rzemieniem koszyk. Kiedy na klęczkach na podłodze zajmował się przygotowaniem rzeczy do podróży, zaczął mówić o sprawie wolności, bo w jego sercu gorzał płomień. Ten jaśniejący, wieczny ogień, który nigdy nie przestaje płonąć.

Lecz Annikki stała bez ruchu u jego boku i patrzyła na męża ze swoją twarzą świeżą i młodzieńczą, choć teraz była ona blada i bolesna.

- Nie ma niczego na świecie, za co chciałabym umierać - powiedziała głosem zgaszonym i żalonym - Nie, nie ma nic takiego, za co mogłabym oddać życie. Ja pragnę żyć, chcę żyć nadal dla ciebie, dla naszego dziecka. Nie widzę niczego, co byłoby godne, by za to poświęcić życie.

Antero wyprostował się. On również zbladł. Popatrzył na sylwetkę żony - która dla niego była najpiękniejszą kobietą na całym świecie. Widział jej niebieskie oczy i włosy kręcone, które tyle razy pieściły jego policzki.

- Nie mówisz tego poważnie, prawda Annikki? - zapytał - wiesz przecież bardzo dobrze, że nie mówiłaś tego poważnie. Tej jesieni zacząłem pojmować wiele rzeczy, których do tej pory nie rozumiałem. Nie bój się, to wszystko się rozwiąże i to szybko.

- Ja się nie boję - odpowiedziała ona żywo, spoglądając na niego ze wzrokiem zgaszonym przez zmęczenie i ból. - Powiedziałam tylko to, co czuję. Nie zobaczę cię już więcej nigdy. Dlaczego nie mam być z tobą szczerą, szczególnie przy tej okazji? Ty także jesteś mi winien szczerłość.

Antero chwycił jej dłoń, które zwiślały smutnie i bezwładnie i próbował zarzęć żonie w oczy, ale ona uparcie odwracała wzrok.

Oboje jesteście osobami rozumnymi - ciągnęła dalej Annikki - Dlaczego kłamiesz mi w takiej chwili? Cóż znaczy dla mnie wolność? Nie umiesz mi nic innego powiedzieć, kiedy prawdopodobnie musimy rozdzielić się... na długi czas? Co teraz czujesz ty, gdy mnie zostawisz? Powiedz to otwarcie, bądź ze mną szczerą!

Antero uwoinił ręce żony i odwrócił się do niej. Przepetniony dziką a niewymowną czułością popatrzył na Annikki - spod oka i wydało mu się, że zniechęcił samego siebie, bo stał się przyczyną jej bólu.

- Pytasz, co czuję? - odpowiedział cicho - Dobrze, będę z tobą szczerą: oto czuję, że życie, jakie aż do tej chwili prowadziłem, jest czymś mizernym i bez znaczenia w porównaniu z tym, które jest przede mną. Czuję, że całe życie



...oje ze wszystkimi jego doświadczeniami i wiedzą - nie jest niczym więcej, niż jakimś rodzajem szkoły, gdzie poznaje się wykonywanie pewnego zawodu, który wkrótce mam zacząć realizować, a którego do tej pory nie znam. Tak w tej chwili myślę i tylko połowa mojej istoty jest tutaj i patrzy na ciebie i na nasze dziecko; tylko połowa mnie pozostanie z tobą. Lecz już nie jestem tylko dla was, jak do tej pory wierzyłem. Teraz wzrosłem, aby spełnić inną misję, z której nie zdawałem sobie sprawy aż do tej pory. Tak oto jestem z tobą całkowicie szczerzy w tych chwilach, kiedy być może, rozstajemy się na długi czas.

Wzruszył ramionami, jakby zawstydzony tyłoma słowami. Nie wiedząc do końca, co czyni, pochylił się i podniósł córeczkę w ramionach z podłogi, przycisnął ją do piersi a ręką pogladził czule po jej jasnych włoskach, nie odwracając się ku żonie. Ale teraz sama Annikki stanęła do niego twarzą w twarz tak, że oboje mogli sobie patrzeć nawzajem patrzeć w oczy.

Cieszę się, że to powiedziałeś - powiedziała cicho i ze spokojem - tak jest lepiej dla ciebie, bo z pewnością nigdy nie zdołałbyś tego wypowiedzieć w jakimś liście. Teraz przynajmniej się rozumiem. Pojmujesz to? Jestem bardziej pojętna, wiele bardziej, niż ty. Zrozumiałam już wówczas, kiedy przyszedł na świat nasza córeczka. Wtedy zachowywałeś się wobec mnie, jak dzieciak; jak duży dzieciak, któremu wydawało się, że to on sam tworzy swoje życie. A teraz to już mężczyzna, który przemawia twoimi ustami. Maż, który stoi przede mną tutaj. Lecz to nie powoduje we mnie żadnego smutku. Nie straciłam cię, ja cię odzyskałam na nowo i teraz jestem dumna z ciebie. Już nie pamiętasz zapewne tego, co powiedziałam kiedyś. My, kobiety, nie zawsze jesteśmy szczerze, gdy nasze usta wymawiają niemiłe słowa. Nie wydaje ci się dziwnym, że tyś słów pada teraz między nami? Po tylu nocach, spędzonych razem, w czasie których mogliśmy wyjaśnić sobie wszystko! Ale widocznie tak to już bywa, że powinno się mówić we właściwym tylko czasie.

Antero patrzył zaskoczony na swoją żonę i nadal przycisnął córeczkę do piersi niezgrabnymi rękoma. Annikki uśmiechnęła się do niego. Jej oczy były pełne łez, które powstrzymywała. Podatła męzowi usta.

Proszę cię tylko o jedno - powiedziała mu - Nie martw się o mnie. Czaszy, które nadchodzą, będą trudniejsze dla ciebie, niż dla nas. Nie przejmuj się o mnie! Małańka i ja damy sobie radę, jak zdołamy a twoja matka też mi pomoże. I teraz - uśmiecham się tylko dla ciebie.

Po chwili milczenia kobieta dalej kontynuowała:

Razem przeżyliśmy wiele pięknych dni i jestem szczęśliwa, wspominając je teraz. Gdy się rozstaniemy, nadejdą zapewne takie dni - których nie będziemy mogli wspominać z tym samym zadowoleniem, jeżeli rzeczywiście nadejdą zle czasy. To był nasz dobry los, że się oboje rozumieliśmy i dlatego jestem szczęśliwa. Także z tego powodu cieszę się, że nie zmęczyłeś się moją osobą. Ponadto jestem szczęśliwa jeszcze z wielu innych przyczyn. Lecz to jest już tylko ważne tylko dla mnie samej, dla mojej mizernej egzystencji i nie zasługuję na to, bym o tym dalej myślała. Nie mogę uczynić więcej nic innego, niż zawsze cię kochać. Tej sierpniowej nocy, której zgnałiśmy nasz domek a ja położyłam rękę na twoim sercu, zrozumiałam już, że być może będę musiała cię utracić. Wówczas, gdy staliśmy połączeni, coś mi jak gdyby mówiło we wnętrzu, że zapewne kiedyś będę musiała

rozłączyć się z toba, ponieważ ludzie nie mogą być zupełnie szczęśliwi tutaj na ziemi. Ale popatrz mi w oczy i zobacz: dla ciebie – uśmiecham się!

Po tej rozmowie opuścili swój dom. Na stacji kolejowej spotkali matkę Antero, która miała wyjechać razem z Annikki i malenką. Jej starszy syn a brat Antero towarzyszył matce na dworzec. Inni dwaj bracia byli już w szeregach i znajdowali się gdzieś daleko, w jakimś zakątku Finlandii.

Do zobaczenia! – jeszcze raz powiedzieli sobie, gdy już odjeżdżający siedzieli w zatłoczonym pociągu. – Do widzenia! – powtarzali, ściskając swoje ręce, jak to jest we zwyczaju, kiedy ktoś się żegna w obecności obserwujących nas obcych ludzi i gdy wstydzimy się okazywać swoje wewnętrzne wzruszenie.

Annikki uśmiechała się a jej oczy pozostawały szeroko otwarte i jasne, gdy twarz wydawała się drobna, jakby nie spała długi czas lub wychodziła dopiero z długiej, ciężkiej choroby. Taki jej obraz utrwalił się w pamięci Antero. I taka właśnie – wydała mu się piękniejsza, niż jakkolwiek kobieta na ziemi....

III.

Po tych dniach ewakuacji, cisza objęła miasto. Pracowano dalej normalnie, jak dawniej, choć z większym oddaniem i szybkością, wszak wielu mężczyzn powołano już do szeregów a pozostali starali się wypełnić ich brak.

Na ulicach nie było widać dzieci a wieczorem tylko autobusy i tramwaje prześlizgiwały się przez ciemne miasto, mając jedynie jakby czarodziejskie, niebieskie światła.

Wszystko trwało tak spokojnie i cicho, że w opustoszałych domach można by wieczorem usłyszeć bicie serc tych, co tam pozostali. Trwała nadal wojna nerwów. Ataki zastrasżające i usiłowanie szerzenia demoralizacji przez Związek Sowiecki wystawiały na twardą próbę nerwy ludzi w czasie tych dni przed burzą. I nadal w głębi siebie nikt nie wierzył tak naprawdę, że dojdzie do wypowiedzenia wojny.

Każdy przygotowywał się na taką ewentualność i dostosował do niej swój własny tryb życia. Nadal jednak w najbardziej wewnętrznej głębi swojej istoty każdy Fin miał nadzieję, że ponieważ cały fiński naród nie pragnie czegoś innego, niż pokoju – więc będzie nadal mógł w tym pokoju żyć, zaś agresor mógł poprzez wojnę jedynie mało zyskać – a wiele stracić.

Tylko nieliczne wyjątki były woine od tego nerwowego napięcia. Ludzie zachowywali się i traktowali nawzajem lepiej; do tej pory nieznani sobie – teraz rozmawiali i szybko stawali się przyjaciółmi. Jeśli ktoś miał problemy, trudności – pomagali sobie sąsiedzi. Wspólne oczekiwanie, silne napięcie nerwowe sprawiły, że ludzie nawiązywali bardziej serdeczne więzi.

Podczas takich spokojnych dni, w mieście w znacznym stopniu ewakuowanym, Antero zapomniał o całej swojej przeszłości. Odłożył zupełnie na bok swe rysunki i projekty, które tak wiele znaczyły dla niego do tej pory. Teraz stracił dla nich zupełnie zainteresowanie.

Kiedyś – przerzucając szuflady biurka, znalazł znaczek swej szkoły zawodowej i pomyślał o profesorze i kolegach z czasów studenckich, o przyjaciółach. Poczuł się niepocieszony stwierdzając, jak szybko zapomniał to, co dawniej wydawało mu się tak interesujące i decydujące. Obecnie to wszystko było podobne do rozproszonych i białych drobiazgów, które przepływały przez wyobraźnię:

... więc owa myszka, której tak bardzo się przelał pewnego dnia w piwnicznym przysiędciu, kiedy był jeszcze malenkim....

... złote bułeczki, które robiła jego matka; okazała, futrzana czapka – jaka nosi jeden z klasowych kolegów; wielkie, błękitne guziki – które Annikki miała przy sukni – kiedy się poznał; czerwonawe gałęzie drzew, przeglądające się w przezroczystych, jesiennych wodach jezior....

Antero odszukał w piwnicy swe narty i zastanawiał się przez chwilę, czy nie będzie ich potrzebował tej zimy? Kiedy chodził do szkoły przemysłowej, był wyróżniającym się narciarzem i niejednokrotnie zdobywał nagrody i wygrywał biegi, lecz w tych ostatnich latach poświęcił się całkowicie swemu zawodowi i tylko od czasu do czasu czynił krótkie wypadki z domu w okolice podmiejskie.

W wolnej chwili oczyścił też swój rewolwer i kupił więcej amunicji. Wreszcie naprawił również buty, których nie wkładał od czasu, kiedy dawał na wiosnę letni domek nad jeziorem.

Czas mijał – a rozkaz wcielenia dla niego nie nadchodził. Inni już dawno zostali zmobilizowani a między innymi – wielu jego bliskich przyjaciół. Czyżby go nie potrzebowano? We wzroku pojawiał się więc wyraz zatroskania i nieco smutku. Jego poczucie obowiązku nie mogło pogodzić się z tym, żeby inni szli – a on pozostał w domu! Zaprawdę bardzo iść i dowiedzieć się, lecz powstrzymał ten impuls. W tych niepewnych dniach cały naród zaufał bezwarunkowo i całkowicie ludziom, którzy ponosili tak wielką odpowiedzialność.

I wreszcie rozkaz wcielenia jednak nadszedł i dla niego we właściwym czasie. Był ranek, Antero właśnie wstał i dostrzegł małą kartę pocztową; która powiadamiała go, że od tej chwili przestaje być kreślaczem i nie ma już własnego życia; od tej chwili jest sierżantem uzupełnień – Antero Vaaja i powinien wcielić się w szeregi wojska fińskiego na czas bliżej nieokreślony, w rejonie nadgranicznym i w celu odbycia ćwiczeń rezerwy.

Trzymając w dłoni to wezwanie, przeczytał raz i drugi ten wyraźny tekst, doświadczając głębokiego zadowolenia. Na dworze niebo było jasne; poranek wstał piękny i łagodny a on miał przeczuć, że oto w jego życiu rozpoczają się okres wspaniały i świetlisty. Został przecież powołany, by wypełnić obowiązek wobec Ojczyzny i pragnął okazać się godnym takiego powołania.

Było to dla niego radością i od razu ułożyło mu na sercu po tylu długich dniach niepokoju i udreki, bo przecież i on, jak wszyscy Finowie, czuł się głęboko odpowiedzialny za losy swojego kraju i bezczynne oczekiwanie było dla niego torturą.

W koszarach wojskowych i prowizorycznych kwaterek polowych powstawały dzierń za dniem nowe kompanie. Otrzymywały swe wyposażenie i uzbrojenie, poczym były transportowane do miejsca przeznaczenia, które znał tylko nieliczni spośród nich. Był teraz w szeregach wojska i od dawna był gotów iść tam, gdzie będzie potrzebny.

Już z plecakiem na grzbiecie i myśliwskim nożem u pasa, poszedł teraz w kierunku warsztatu swego ojca; mieścił się on w starym, kamiennym domu – jednym z pierwszych w tym mieście, który został zbudowany własnymi siłami przez prostych robotników.

Wszedł przez główne wejście i poszedł od razu w głąb domu, do małego warsztatu pachnącego klejem stolarskim i gdzie zawsze musiało palić się światło elektryczne. Ojciec jego podniósł głowę znad swego stołu stolarskiego, zostawiając na nim duży strug (hebel).

– A więc zmobilizowali na koniec i ciebie? – i mówiąc to, począł przegarniać dionią siwe włosy.

Dla Antero zawsze było dziwnie krępujące rozmawiać z ojcem. Ten całe życie spędzał w warsztacie stolarskim i dla niego było zawsze dużym wysiłkiem posiadanie



i wykształcenie czterech synów. Teraz już wszyscy oni pracowali i troszczyli się sami o siebie; już go nie potrzebowali.

Ponadto, Antero był zawsze nieco nieśmiały w obecności ojca.

- Tak, i mnie już powołali. Przychodzę pożegnać się z Wami, Ojciec – powiedział Antero, jednocześnie zawstydzony tym, że wydostał z jakiegoś zapomnianego zakątka pamięci i dzieciństwa to stare sformułowanie: „Wy – Ojciec”... To słowo, którego jego bracia, już dorośli, nigdy więcej nie używali.

Antero wyciągnął na powitanie dłoń, ale ojciec jej nie podjął ani uściśnął; pozostał tylko, patrząc przed siebie; otwierał i zamykał usta a siwy wąs drgał mu, lecz nie zdołał wymówić słów, jakich pragnął użyć. Więc potem odwrócił głowę i biorąc swe okrycie, powiedział tylko:

- Podejdę z tobą trochę, bo i tak jestem tutaj sam jeden w domu.

Potem starszy człowiek skierował aż do wyjścia z domu i zamknął drzwi warsztatu; i to zamknął w środku dnia – wydarzenie, jakiego Antero nigdy nie pamiętał, by się kiedyś zdarzyło w tym domu – od dalekich dni dzieciństwa.

I kiedy tak szli obok siebie starymi uliczkami, znajomymi mu od dzieciństwa a które teraz wyglądały szaro i smutno, Antero odczuł wielkie oniśmienie. Niósł na plecach ciężki, wojskowy tornister i nóż u pasa; ojciec założył swój roboczy strój i zimny wiatr owiewał jego mokre od łez policzki.

Spotykali również znajomych, idących w przeciwnym kierunku, którzy ich pozdrawiali. Wówczas ojciec unosił poważnie i uroczyste, z godnością swój kapelusz, choć zazwyczaj – na co dzień – zadawał się wymruczeniem pół-głosem jakiegoś słowa, lub uważał za wystarczające uniesienie dwu palców do skraj skrzydła nakrycia głowy.

Przejechali miasto, dochodząc aż do koszar, podczas gdy wszyscy patrzyli na nich ze zrozumieniem i zyczliwością. Z każdym krokiem tej drogi Antero czuł się coraz bardziej dumny, że jego ojciec towarzyszy mu i chce być u jego boku. Nigdy – aż do tej chwili – nie szli nigdy razem, odkąd kiedyś dawno temu ojciec zaprowadził go do szkoły.

I nie tylko to, ale on nigdy nie towarzyszył nawet własnej swej żonie; wnet wtedy, gdy ta wraz z Anniki i ich córeczką pojechały na wieś w poszukiwaniu schronienia. Więc teraz Antero z dumą podnosił głowę i krew krążyła mu szybciej w żyłach, czując się mocnym i pewnym siebie u boku ojca o włosach już siwych i pochylonych barkach. Spoglądając spod oka na idącego ciężko obok niego starego człowieka, serce wypełniło mu się nieoczekiwaną czułością.

Stary robotnik towarzyszył synowi aż do bramy koszar, kiedy nadeszła ta chwila rozstania. To co teraz czynił, przekreślało i wymazywało wszystkie nieporozumienia i złe słowa, które były do tej pory pomiędzy nimi jakby barierą pomiędzy młodością i wiekiem dojrzałym i jakie w ciągu lat oddaliły od siebie ojca i syna.

Podczas gdy szli, starszy pan odkaszlnął i wiele razy otwierał usta, jakby próbował coś rzec, ale nie zdołał wypowiedzieć ani słowa. Trudne to było dla niego i nie nawykł wyrażać myśli, jakie snuły się po jego umyśle. Również i w życiu codziennym zamknął się w milczeniu, uważając coś przeciwnego za objaw słabości. Doszli już w pobliże koszar i szli teraz wzdłuż pustej ulicy, która tam wiodła i dopiero teraz starszy z nich rzekł:

- Jeśli tak uważasz, moglibyśmy zaczekać tutaj, zanim tam wejdiesz?

Pozostali więc obaj na ulicy, patrząc na siebie; teraz policzki starego poczęły drżeć pod wpływem siły jego uczuć i myśli. Antero trwał w postawie oczekiwania na pytanie, jakie zapewne chciał mu zadać ojciec; ten wreszcie zdołał wyrazić w słowach to, co pragnął powiedzieć synowi:

- Dobrze, że idziesz. Przecież wiem dobrze, czego żądają od nas Sowiety. Powinniśmy wspierać się nawzajem wszyscy i nie godzić się, aby obcy nam panowali. Ja w swoim życiu nienawidziłem wielu ludzi: nienawidziłem panów i nienawidziłem też wojskowych – ponieważ sam czulem się zawsze pacyfistą. To są jednak wszystkie sprawy, które dotyczą tylko nas samych i sami

musimy rozwiązywać nasze różnice i to rozwiązywać je na nasz własny sposób.

To był jedyny przypadek, kiedy Antero słyszał ojca, mówiącego tak wiele bez przerywy. Wyrażał teraz w słowach te przemyślenia, które rozważał tygodniami. Z trudem tak mówił dalej:

- Jak dobrze wiesz, nie jestem nadmiernie pobożny i miałem na ustach częściej imię diabła, niż Boga... Gdyby była teraz tutaj twoja matka, to rzekłaby ci: „Niech Bóg cię ochrania, mój synu!” Dla mnie zaś powiedzenie takich słów – nie jest łatwe; nie nawykłem do tego. Powinieneś jednak wiedzieć, że twój ojciec błogosławi cię zawsze, kiedy tylko tego potrzebujesz!

Wyciągnął swą pomarszczoną, spracowaną rękę i Antero ją ujął i ścisnął, podczas gdy serce owładnęło mu bolesne – ale i piękne uczucie. Stary nie puścił dłoń syna, lecz położył mu i drugą dłoń na plecach, jakby w ochronnym geście i porządną nim lekko a policzki jego drżały coraz bardziej.

- Nie mogę zapomnieć tego czasu – mój synu – kiedy byłeś maleńki – powiedział zduszonym i niewyraźnym głosem – kiedy raz pewnego uderzyłeś się w ślup i wargi ci krwawiły, ale nie płakałeś... O tym właśnie teraz myślę. Lecz... Idź swoją drogą!

Puścił rękę syna i jeszcze raz poklepał go po ramieniu. Nawet nie popatrzył więcej na siebie, kiedy Antero ruszył ku bramie koszar. Dopiero gdy doszedł do niej, odwrócił głowę i dostrzegł, że ojciec stał w tym samym miejscu wahający, poruszając bezsilnie rękoma.

Potem zaraz wszedł na plac koszar.

IV.

Po przekroczeniu bramy jednostki natychmiast zniknęły z duszy Antero cała wielkość i melancholia, które panują przy pożegnaniach. Od razu rozpoczęło od przydziału broni i sprzętu oraz dzielono przybywających na grupy i kompanie, co od razu pomogło każdemu przepędzić przez smutki rozstania. Ruch był nieustanny; twarze znajomych i nieznanymi; pozdrowienia i okrzyki – ale wszystko to uporządkowano z zadziwiającą szybkością.

Dwie sekcje karabinów maszynowych oddano pod dowództwo sierżanta rezerwy – Antero Vaaja. Ich dowódca – szefem został chorąży rezerwy, młodszy od Antero; ten wspominał, że dowódca uczestniczył w wykładach w klasie niższej od niego, w tej samej szkole technicznej, ale razem skończyli ostatnią klasę, by iść na studia na Uniwersytecie Technicznym.

Aktualnie tutaj w wojsku panował zupełnie inny duch, niż kiedy Antero odbywał swą służbę obowiązkową w czasie pokoju. Teraz istniała wśród nich o wiele większa swoboda, radość i więcej ducha koleżeńkiego. Ludzie patrzyli na siebie bardziej krytycznie, komentowali możliwości i odporność kolegów oraz siedlili wyniki działania broni z większym, niż kiedyś zainteresowaniem. Teraz mogli brać wszystko poważniej i wymagać od siebie wzajemnie więcej, niż w latach dawniejszych. Z tego powodu powinni odrzucać zewnętrzne aspekty rzeczy.

Głosy komend – wyraźne i głośne – brzmiały znajomo dla nich i powodowały, że ciała żołnierzy prostowały się a szeregów równały w linie bez zarzutu. Każdy dostrzegał wokół siebie twarze kolegów, których nie widział od czasu ostatniego manewrów rezerwy, kiedy wypalili ostatniego papierosa i pożegnali sierżanta. Uściśki rąk miały teraz nowe ciepło, bardziej męski charakter i nikt z nich nie chodził ze spuszczoną głową.



*Myśliwiec końca
XXII.*

We wszystkich oczach dojrzeć można było takie samo silne postanowienie. Nie miało teraz dla nich żadnego znaczenia, czy ktoś z nich był przedtem krawcem, murarzem, subiektem w sklepie, czy urzędnikiem, szewcem – czy też pianistą.

Tutaj i teraz nic nie znaczył wykonywany zawód, czy zajmowana pozycja w życiu cywilnym; tutaj ważna była celność i pewność w strzelaniu, stalowe, odporne nerwy i zdolność dłoni w postugiwaniu się mechanizmami karabinu maszynowego.

Pomiędzy tą mnogością setek ludzi, nie było ani jednego, który by pił wodę – gdy nie miał pragnienia, jak to bywało kiedyś. Oni wszyscy stawili się na rozkaz powołania do szeregów z trzeźwą głową; Każdy z nich był gotów dowieść swej dobrej woli.

Podczas gdy Antero był zajęty przygotowaniami do wymarszu, czuł silne i gorące uczucie solidarności z całą tą rzeszą ludzi. Wszyscy oni byli dziećmi tego samego miasta, chodzili tymi samymi ulicami, w nim każdego dnia zdobywali swój powszedni kawałek chleba.

To są moi towarzysze broni, kolezdy, tak, jak i ja jestem dla nich i każdy z nas postanowił i jest zdecydowany wyjść zwycięsko z tego wszystkiego, co będzie trzeba wycierpieć za Ojczyznę i dla swego narodu. Nie mamy innego celu ni ideału, więc jeśli tak będzie trzeba – za niego jesteśmy gotowi umierać.

Z miasta wyjeżdżali w ciemnościach nocy, w pełnych żołnierzy wagonach bardzo długiego pociągu. I wydawało się, że szyny kolejowe w tej listopadowej nocy śpiewają pieśń przyszłości razem z szarpnięciami i kołysaniem wagonów. Żelazne grzejniki promieniowały ciepłem a w przedziałach dym papierosów tworzył niebieskie spirale. Wszędzie rozmawiano półgłosem o czym im tylko przyszło na pamięć.

Ktoś zaintonował pieśń i każdy – aż do ostatniego żołnierza – śpiewał z zapalem. Tak dobrze znane im od dawna słowa, miały teraz inny ton; pieśń brzmiała mocniej a jej melodia dźwięczała potężniej, niż kiedykolwiek do tej pory i zaden ze zmęczonych już mężczyzn nie zaprzestał śpiewać:

„Słuchaj żołnierskiej przysięgi –

Ojczyzno nasza!

Nigdy dłoń obca

zniewolić Cię zdola swą siłą –

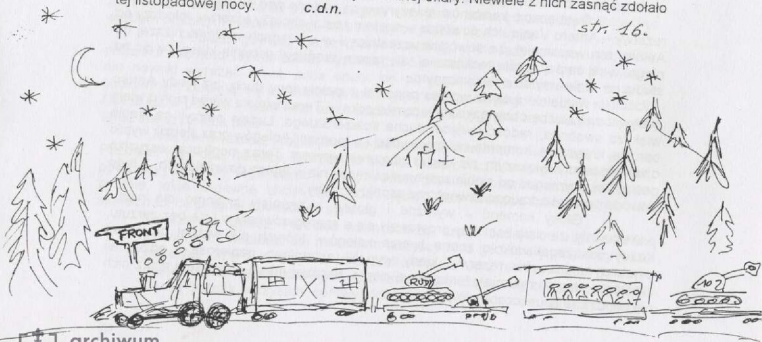
Krwia własną Cię obronimy,

W pokoju żyj – bo twarda jest nasza odwaga!”.

Tak oto wyjechali. Wiele matek i zom ich pożegnało na drogę, z lekkiem przyszłości w sercu i z bolesną dumą składanej ofiary. Niewiele z nich zasnęło przed tej listopadowej nocy.

c.d.n.

str. 16.



Z MISJI

Wspomnienia misjonarza (30).

W naszym domu parafialnym, gdzie wszyscy trzej mieszkaliśmy, otrzymaliśmy mały pokój na pierwszym piętrze, naprzeciwko Ojca Alberta. Okno miałem od strony ulicy, czyli z widokiem na pobliski grzbiet jednego z pasm wzgórz, po którego stokach już pięły się domy. Jednak tuż przed oknem, w odległości może dziesięciu metrów zaledwie, była ulica z jego targowiskiem niemal nieustającym.

Nieco ciszej było dopiero ze dwie godziny po zachodzie, który tutaj – na równiku – wypadł nieco przed, lub po szóstej. Również wschód podobnie, niewiele odbiegał od godziny szóstej. Jednak już od czwartej, lub nawet wcześniej, rozpoczął się turkot wózków i zdezelowanych pojazdów, przywożących ludzi i towar. Hałas narastał, a przeciw okna nie było można zamykać z racji szybko rosnącej temperatury. Natomiast w nocy bywało zazwyczaj tylko kilka stopni powyżej zera. Powietrze rano zdawało się niemal mroźne.

Od razu na początku mego pobytu w stolicy stanął problem mojej nauki języka hiszpańskiego w sposób bardziej zorganizowany. Takiego zdania był zarówno sam Ojciec Prowincjał – Luis Alberto Cruz, jak i mój bezpośredni przełożony. Więc zdecydowano, że powinienem zapisać się na regularne kursy na „Católica”. Tak zwano Uniwersytet Katolicki – prowadzony w Quito przez Jezuity, a po hiszpańsku zwie się: „La Católica” – czyli słowo jest rodzaju żeńskiego.

Ponieważ Ekwador odwiedzało i mieszkało tutaj wielu Anglosasów, więc na uniwersytecie były stałe kursy języka angielskiego na trzech poziomach, które kolejno można było przechodzić. Wielu słuchaczy tych kursów, to byli sekciarze wszelkiej maści, napływający tutaj ze Stanów Zjednoczonych Am. Płn. i szybko uczący się języka tubylców. Chcieli możliwie szybko przejść do nawracania i wyrwania z ciemnoty i z mocy „kościół rzymskiego” biednych dusz miejscowych barbarzyńców.

W takim to otoczeniu znalazłem się i ja po zapisaniu się na taki kurs wstępny. Zarówno podręcznik nasz, jak i cały wykład – był prowadzony po hiszpańsku – i angliści. Miało to i swoje dobre strony: zmuszało do szybkiej i pilnej nauki. Zadawano nam bardzo dużo ćwiczeń i nie bawiono się w wiele wyjaśnień. Grupa liczyła kilkanaście osób, większość bazek. Uczestniczyłem w tych lekcjach naturalnie – w sutannie, ku zdziwieniu jednych, a nieomal zgorszeniu innych. Najmniej dziwili się oni sekciarze.

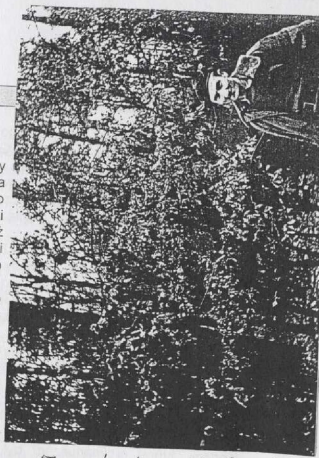
Uniwersytet Katolicki zajmował duży teren w północno – wschodniej dzielnicy stolicy, nieco na uboczu od niższego i położonego bardziej ku południowi centrum miasta. Miał liczną wspólnotę jezuitów i osobny dom na terenie uniwersytetu. Później poznałem niektórych Ojców – Profesorów, z których wyróżniłem również aktualny wówczas – arcybiskup stolicy, kardynał Pablo Muñoz Vega. Pochodził z małej wioski na północy kraju, Indianin czystej krwi – długoletni rektor Papieskiego Uniwersytetu Gregorianiego w Rzymie.

Był podobno spowiednikiem i osobistym przyjacielem papieża Pawła VI, mianowany przez niego na stolicę w Quito w r. 1968. To On powierzył uniwersytet katolicki naszemu Zakonowi – i również On uratował go od całkowitego opanowania tej uczelni przez bardzo „postępowego” przedstawiciela tzw. „teologii wyzwolenia” w końcu lat siedemdziesiątych.

Kardynał był przyjacielem i wielkim – cóż, użyję tego słowa – wielbicielem naszego

Łącznik

str. 5.



Z czasów harcerek (r. 1957)

ś.p. Stefana kardynała Wyszyńskiego. Zdążył również wybierać zarówno Jana Pawła I-go, jak i obecnego Papieża. Cechowała Go wspaniała inteligencja i zakonna prostota: nigdy nie nosił purpury i tylko w uroczystych okazjach – czerwony, kardynalski pas i piasek. Sam miałem okazję i nie jeden raz rozmawiać z Nim – naprawdę jak z zakonnym Współbratem.

Nigdy nie nazywano Go inaczej, jak „Padre” – czyli: Ojciec i naprawdę tak traktowali innych, szczególnie Jezuistów. Papież pozwolił Mu odejść dopiero po ukończeniu 80 lat; był urodzony w roku 1903-im.

W roku mojego przyjazdu do Ekwadoru, na początku 1973-go roku, wojsko dokonało zamachu stanu, wypędzono skorumpowanego prezydenta i zgraję partyjnych „politików”. Na czele wojskowego rządu – zwanego tam „Junta wojskowa” – czyli „zespołem, grupą” stał przywódca zamachu, gen. bryg. Guillermo Rodríguez Lara – znany powszechnie, jako „Bombita”, co już wcześniej wspominałem.

W tych trudnych czasach i potem, gdy znów powracały do życia stare „demokratyczne” rozrabiaki, autorytet i głos kardynała Muñoz Vega był powszechnie uznawany i słuchany. Gdy zabierał głos – w sprawach publicznych, czy tym bardziej kościelnych – kończyły się dyskusje. On także ponosił odpowiedzialność za wszelkie wysoki niektórych „postępowców” wśród duchowieństwa.

Może już teraz wspomnę tylko o jednym z takich przypadków, które wydarzyły się chyba ok. roku 1975 –go w Riobamba – stolicy prowincji Chomborazo i jednocześnie diecezji, której ordynariuszem był wówczas jeden z dwu biskupów, których chwaliła niesławnej pamięci, polska (w teorii) „Trybuna Ludu”.

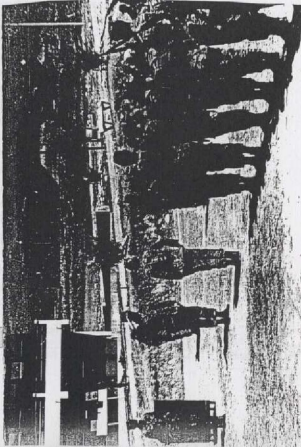
On organ „przodującej siły narodu” – macierzystej „partii” naszych nieomal wszystkich dzisiejszych europejczyków, wychwalał tylko dwu biskupów katolickich (wówczas jeszcze nie objawił się ten komentator słów Ojca św. z Krakowa). Jednym z tych postępowych – był biskup z Cuernavaca z Meksyku. Drugim – równie miłym naszym czerwonym, przyrodnim – (co może wyrodnym?) braciom, był właśnie biskup z diecezji Riobamba w Ekwadorze – mons. Proaño.

Diecezja ta była jedna z najbardziej ubogich stron kraju, w dużej większości nadal zamieszkała przez Indian. Teren górzysty, w centralnym paśmie Andów, mający niewiele uprawnej ziemi, leżącej na stokach gór i w dolinach pomiędzy dwoma, równoległymi ich pasmami. Zresztą wszędzie tam, gdzie ziemia była nieco lepsza – od wieków należała do bogatych potomków Hiszpanów.

Były tam więc wspaniałe warunki dla demagogów, opłacanych przez agenta sowieckiego z Kuby. Wiele biedy, niesprawiedliwości, nieraz „wołającej do Boga o pomstę”. Więc tam właśnie szykował „ludową rewolucję” mons. Proaño... Kiedy pewnego razu zwołał do...domu rekolekcyjnego w okolicach swjej biskupiej stolicy dobrany zestaw działaczy, księży również i gości z zagranicy – również kilku biskupów z poza Ekwadoru – obrady zaskoczyła policja. Zgarnięto obficie materiały, nagrania obrad, plany ludowej ruchawki.

Mons. Proaño również został zgarnięty i znalazł się w odosobnieniu – nie w więzieniu publicznym. I wówczas kardynał Muñoz Vega twardo zażądał uwolnienia biskupa od rządzącej Junty. Musiał obejrzeć zabrane nagrania i materiały, wysłuchać wielu gorzkich słów za zebranie – o którym...nawet Go nie powiadomiono. Biskupa jednak uwolniono.

c.d.n.



Zmiana d-ty
w jedn. wyśk- w
Zamora...

I. Czerwona zaraza...

Czekamy ciebie, czerwona zarazo,
byś wybawiła nas od czarnej śmierci,
byś nam kraj przedtem rozdarzyła na ćwierci -
była zbawieniem - witanym z odrazą

Czekamy ciebie, ty potego tumu,
Zbójdieciałego pod twych rządów knutem.
czekamy ciebie, byś nas zgnołita butem,
swego zalewu i haśe pozsumu...

Czekamy ciebie, odwieczny nasz wrogu,
morderco krwawy setek naszych braci,
Czekamy ciebie - nie żeby ci spłacić
lecz chlebem witać na rodzinnym progu...

Zebyś ty wiedział, nienawistny zbawco -
jakiej ci śmierci zyczymy w podzięce,
i jak bezsilnie zaoiskamy ręce
pomocy prosząc - podstępny oprawco!

Zebyś ty wiedział, jak to bardzo boli -
nas, dzieci Wolnej, Niepodległej, Świętej -
skuwać w kaldany łaski twej przekłętej,
cuchnącej jarmem stuletniej niewoli!

Zebyś ty wiedział, Ojców naszych kacie,
sybirskich więzień ponura legendo
Jak twój dobroć kłąć tu wstęmy będą -
wszyscy Słowianie, wszyscy twoi bracia!

Legła twa armia, zwycięska, czerwona -
u stóp łun jasných płonącej Warszawy,
I ścierwina dusze syci błętem krwawym,
garstki szaleńców, co na gruzach konal!

Czekamy ciebie - nie dla nas, żołnierzy,
Dla naszych rannych - mamy ich tysięcy!
i dzieci są tu - i matki karmiące,
A po piniwach - zaraza się szerzy...

Miesiąc już mija od powstania chwili.
Łudzisz nasz czasem dział swoich koskotem,
wiedząc, jak trudno będzie znowu potęmy -
powiedział sobie: „to znów z nas zapili!”

Czekamy ciebie - ty zwiekasz i zwiekasz...
Ty się nas boisz! - I my wiemy o tym!
choesz, bycemy wszyscy tu legli pokotem,
naszej zagłady obd Warszawą czekasz!

Nam nic nie zrobisz. Mamy prawo wybrac:
możesz nam pomóc, możesz nas wybacic,
Lub czekać dalej - i śmierci zostawic...
śmierć nie jest straszna - umiemy umierać!

Ale wiedz o tym, że z naszej mogiły
Nowa się Polska zwycięska narodzi.
I po tej ziemi - ty nie będziesz chodzil!
Czerwony władco - rozbewstwiej siły!
(Autor - Józef Szczepański - „Złutek”)





Trzynastacy z Garwolina – szykują się już do obchodów swojej dwunastej rocznicy powstania drużyny. Na razie funkcja i godność drużynowego – pozostaje w rodzinie: to już trzeci z braci jest id roku drużynowym. Ponieważ najstarszym z możliwych następców – jest Dawid, zapewne to on odziedziczy d-nę w swoim

czasie. Gdyby zdecydowano się przypadkowo na koedukację – wszak - co nie daj Boże! – będziemy niedługo już w Europie, wówczas miałyby szansę na następstwo po Dawidzie, jego siostra – jeszcze nieochrzczowana, Natalka... Tyle wieści z Garwolinu...

W okolicach Mińska Maz. - praktycznie działa tylko tzw. Próbną Siódemka przy parafii w Mistowie. Razem z nimi – istnieje od dnia św. Anny – zastęp na Królewcu – Arynowie, który zbiórki swoje ma na razie razem z tymi z „Siódemki”. Zapoczątkowana na obozie przyjaźni, teraz pozwala im dobrze współpracować. W obu tych środowiskach – na szczęście - mamy sytuację dużo lepszą, niż ma jedna z naszych drużyn: tam X. Proboszcz dostrzega harcerzy tylko w przypadku potrzeby ich do jakiejś pracy, zaś obietnica przydzielenia im wreszcie samodzielnego kąta – jest nadal w zakresie obietnic i marzeń...

„Samotny harcerz” – jest jeszcze w okolicy Grodziska Maz. Ostatnie wieści od niego – via babcia Zosia – mówią, że Kuba wspomina z nostalgią nie tylko dha Oboźnego – „Burego”, lecz również doskonale wyżywienie, czyli również naszego wspaniałego Kwatermistrza – małego „Johnny – Błyskawicę”. Zapewne znów prawie wszyscy uczestnicy obozu „Twierdzy 2002” spotkają się w sobotę najbliższą – gdzieś w lasach koło Garwolina....

Środowisko Torunia, Szczecina i okolic – nadal milczy, pomimo tylu i szczerych zaproszeń do pisania i współpracy z Redakcją. Doszły nas tylko wieści – którymi się dzielimy, że być może Dh. „Czarny” wyjedzie wkrótce na misje do naszych wschodnich sąsiadów. Może osiadzie gdzieś „w Sibiru” ? czego Mu zresztą serdecznie nie życzymy...

OD REDAKCJI: rozpoczynamy nowy rok szkolny: nie tylko nowi koledzy, czasem – nowa szkoła, ale i nowe podręczniki i przedmioty. Lecz harcerze mają dodatkowo obowiązek dorastania we wierze i poznaniu własnych „korzeni”. Nawet wówczas, gdy zmniejszają Wam ilość lekcji historii i polskiej literatury, wycofują klasyczne lektury – w zamian za euro-bzdury, czy poetyckie wypociny krakowskiej noblistki.. Przypominajmy sobie nauki Ojca św. i jego słowa rozważajmy.

Harcerzy z naszych środowisk = ponownie zachęcamy do pisania i nadesłania choćby krótkich wzmianek o własnych obozach, czy wrażeniach z pielgrzymek i wakacji.

Łącznik

Redaktor naczelny: O. Franciszek Nowicki SJ

Redakcja: Robert Szostak
Andrzej Buława
O. Mieczysław Sołowiej SJ

e-mail: franov@pro.onet.pl

adres: 01-961 Warszawa; ul Wrzeciono 10/38 tel. (022) 835-76-77

Konto: F.Nowicki PKO BP S.A. I/O WARSZAWA Nr konta 47-10201013-45596-4526

Wydaje: Krąg Św. Jerzego Harcerstwo Polskie

Redakcja udziela zgody powielanie artykułów z podaniem źródła. Wszelkie zmiany treści artykułów wymagają zgody redakcji

Do użytku wewnętrznego.